

Mieczysław Cielecki

Najgłębiej przeżywany czas mojego życia : (fragment artykułu z "Powstańca Warszawskiego" nr 56

Przegląd Pruszkowski nr 1, 48-50

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Najgłębiej przeżywany czas mojego życia (fragment artykułu z „Powstańca Warszawskiego” nr 56/1–2008)

Przeżyłem powstańczą apokalipsę, choć nie wiem, czym zasłużyłem na taką łaskawość losu i dlaczego ocalałem. Do mych przeżyć mogę odnieść to, co powiedział o sobie poeta, ksiądz i uczestnik Powstania o. Jan Twardowski: *... Przez cały czas żyję z poczuciem winy, że tylu moich kolegów zginęło, i lepszych ode mnie, a ja ocalałem...*

(...) Tak jak innym, śmierć wielokrotnie zaglądała mnie w oczy. Do tego można się było w jakiś sposób przyzwyczaić. Nieco inaczej odbierałem jednak kilka, co najmniej cztery, nazwijmy to, indywidualne przypadki! To znaczy gdy byłem jedynym, jak na strzelnicy, celem dla niemieckiego strzelca wyborowego, snajpera. Trzykrotnie strzelano do mnie z karabinu – jak do tarczy. Z nieco dalszej odległości, a raz całkiem z bliska, z broni maszynowej. Jeden przypadek był nietypowy. Stałem wyprostowany na skraju wiślanej skarpy. Snajper strzelał z dość daleka, kule padały jednak w odległości zaledwie kilku centymetrów od mych stóp. Roześmiałem się i zareagowałem w głupawy sposób: odwróciłem się, wypiąłem pupę w stronę snajpera, klapnąłem w nią ręką i ...o dziwo ... snajper przestał strzelać. Nie bałem się zabicia od kuli, ginęło wielu, niekiedy na moich oczach, bałem się natomiast spalenia od zapalających „krów”, bądź śmierci pod gruzami walących się domów lub wskutek uduszenia się pod zwałami piachu. Mimo powracającego przy różnych okazjach strachu, przeżyłem, nie licząc lekkiej rany postrzałowej.

Większość służących w oddziałach o dużej ruchliwości operacyjnej z pewnością pamięta wiele nieoczekiwanych sytuacji i scen. Podobnie i ja. Podam jeden przykład. W końcu sierpnia znalazłem się na jednej z bocznych uliczek Chełmskiej. Zamiast peemu miałem przy sobie zwykły karabin z czterema, tylko czterema nabojami. Sądziłem, że jest to teren spokojny, karabin zawiesiłem przez ramię jak dubeltówkę. Opuszczając Chełmską uzgodniłem, iż będzie mnie ubezpieczał chłopak z ręcznym karabinem maszynowym. Dodawało mi to pewności. Szedłem w kierunku Łazienek, w pewnej chwili usłyszałem z bliskiej odległości trzy krótkie serie z broni maszynowej. Gdy na moją głowę zaczęły spadać liście z drzewa, postrzelone tymi seriami, zorientowałem się, że jedynym celem była moja skromna osoba. Snajper jednak spudłował. Wtedy właśnie, jedyny raz w mojej żołnierskiej karierze, błyskawicznie wykonałem wydany przez siebie samego rozkaz „padnij”! Spod drzewa, do którego się przytuliłem, oddałem dwa strzały do czegoś, co wyglądało jak hełm niemieckiego snajpera, kryjącego się za kominem. Gdybym trafił, byłby jakiś odgłos lub krzyk, ale była cisza, więc zapewne chybiłem. Zostały mi tylko dwa naboje, za mało, aby kontynuować wymianę ognia. Wstałem, przerzuciłem kb przez ramię i już znacznie szybciej wycofałem się na Chełmską. W pewnym momencie przechodziłem koło dużego podwórka – po lewej stronie znajdował się skład drewna, na wprost piętrowy budynek, do którego właśnie podchodzili trzej niemieccy żandarmi, trzymający w rękach gotowe do strzału *bergmanny*. Ich widok sparaliżował mnie. Gdybym miał przy sobie swój pistolet maszynowy miałbym szansę, z pewnością zastrzelilibym dwóch z nich, trzeciego albo ja albo on mnie. Przy kb z dwoma nabojami i niezarepetowaną bronią nie miałem najmniejszej szansy. W oknie budynku spostrzegłem przerażoną twarz jakiejś kobiety. Bała się, być może, sceny, która mogła się rozegrać. Spokojnie, piekielnie spokojnie minąłem to podwórko. Po kilkunastu metrach zarepetowałem broń i skokami, od bramy do bramy, powróciłem

na Chełmską. Żandarmi nie pokazali się, mojego chłopaka, który miał mnie ubezpieczać – także nie było... Pomyślałem – miałeś chłopie trochę szczęścia.

